

PRAWDZIWI



Khong jest magiczką!
Lauren Groff

PRZEŁOŻYŁA KAJA GUCIO

RACHEL KHONG

AMERYKANIE

RACHEL KHONG

PRAWDZIWI AMERYKANIE

Przełożyła KAJA GUCIO

FILIA

Mojej rodzinie

Podobnie jak wy, wychowałem się w instytucji śnienia.

CAMERON AWKWARD-RICH

PEKIN, 1966

ONA SIĘ NIE BOI, ale on tak. Stoją w ciemności przed szklaną gablotą ze starociami. Kamień pisarski z czasów dynastii Ming. W rogu rzeźbiona chryzantema. Malowidło z okresu dynastii Song ostemplowane rubinowoczerwonymi pieczęciami kolekcjonerskimi. A na jedwabnej poduszce, tak niewielkiej, że łatwo ją przeoczyć, starożytne nasiono lotosu owiane legendą.

Oto historia: dawno, dawno temu pewnej nocy z nieba zstąpił smok i upuścił to nasiono wprost na otwartą dłoń cesarza. Doradcy zgromadzili się wokół władcy, by je obejrzyć. „Co za szczęśliwy traf!” – stwierdzili. To nasiono spełni największe życzenie cesarza. Ten jednak nieszczęśliwie zmarł tej nocy, rozmyślając nad tym, co wybrać. Mógł poprosić o nieśmiertelność.

Kobieta wyciąga z plecaka młotek. Z całej siły uderza w taflę. Szkło pęka z pięknym, czystym dźwiękiem. Szybko zabierają się do pracy, zabezpieczają zabytki. Starają się uchronić je przed zniszczeniem przez Czerwoną Gwardię – akt protestu, drobny, przeciwko ruchowi, z którym kobieta nie ma najmniejszych szans.

Nasiono nie robi wrażenia, jest tak stare, że wygląda jak kamyk. Ona jednak wie, że zawiera w sobie całą przyszłość: korzenie, łodygi, liście, kwiaty, aż po kolejne nasiona – wszystko to zaszyfrowane, tak jak ona. Jej serce pompuje krew, płuca wciągają powietrze, kobieta śpi, budzi się, je, wydała. Czy jej życie będzie długie, czy krótkie? Zastanawia się, co wybrała i co ją wybrało. Lubi zapach gardenii, ale nie woń szminki. Nie przeszkadza jej deszcz. Jest zakochana, co wydaje jej się zarazem łatwe i trudne, pierwotne i nieuchwytnie – jak znikanie i wieczność w tym samym czasie. Chce zapytać każdą napotkaną osobę: Czy ty też tak czujesz?

Rachel Khong

– Pospiesz się – mówi jej towarzysz.

Drzwi trzaskają głośno. Ktoś tu jest. Kroki, coraz bliżej. Oboje uciekają.

Na zewnątrz kobieta otwiera pięść. Na jej krwawiącej dłoni spoczywa skradzione nasiono. Ta historia to tylko fikcja. A jednak dlaczego życzenie nie miałoby właśnie jej przypaść?

CZĘŚĆ PIERWSZA

~

Lily

ROZDZIAŁ 1

1999

BUDZIK ZADZWONIŁ O SIÓDMEJ i jak zwykle wybrałam drzemkę. Kiedy obudziłam się ponownie, wciąż była siódma. Od czasu do czasu zdarzały mi się takie przestoje w egzystencji. Za każdym razem, gdy próbowałam wyjaśnić to uczucie, napotykałam nierozumiejący wzrok, więc dałam sobie spokój. Odnosiłam w takich momentach wrażenie, że czas nie płynie. Sekundy nie mijały jak zazwyczaj, a ja byłam uwięziona w danej chwili – nie mogłam przenieść się dalej niż o minutę czy dwie.

Lustro w łazience, białe od pasty do zębów, pokazywało moje odbicie. Na policzku od poduszki odcisnęły mi się bruzdy. Przejechałam palcami po wgłębieniach. Drobiniki pasty do zębów przeniosły mnie na chwilę do potrąsniętej szklanej kuli ze śniegiem.

W kuchni te same muchy krążyły wokół zlewu, a może były one nowe – potomstwo poprzednich. Debbie nigdy nie myła naczyń, a jej wysmarowany szminką kubek balansował na krawędzi zlewozmywaka niczym wyzwanie, by poruszyć tę kwestię. Ostrożnie zjadłam kawałek tostów z dżemem jagodowym. Grzanka chrupała jak zawsze. Odrobina owocowej masy spłynęła mi na policzek, a kiedy ścierałam ją z twarzy, usunęłam ze skóry też trochę różu. Teraz miałam lukę w kolorystyce twarzy. Oznaczało to, że trzeba będzie poprawić makijaż, ale z ulgą stwierdziłam, że prawa fizyki nadal obowiązują.

Na zewnątrz podejrzliwie przyglądałam się otoczeniu, jakby to był sen, z którego zaraz się obudzę. Jak wszyscy, niedawno obejrzałam *Matrix*. Czy tak źle byłoby odkryć, że dotychczasowe życie lub jakaś

jego część to iluzja – wysoce realistyczna symulacja zaawansowanego społeczeństwa? Właściwie mogłoby to przynieść ulgę.

Na dole pani Chin uzupełniała zapasy breloczków w swoim sklepie z pamiątkami. Kłóciła się z panem Pengiem, właścicielem sąsiedniego salonu. Na mój widok przerwali sprzeczkę.

– *Lei hou*, Lily – powiedziała pani Chin, wymawiając moje imię jak „li li”. Nauczyła mnie dokładnie trzech słów po kantońsku: *Lei hou ma*? Jak się masz?

– *Lei hou ma!* – odparłam. – Wszystko w porządku – dodałam po angielsku.

Włosy pani Chin, świeżo po trwałej ondulacji, mieniły się kasztanowymi pasemkami – to dzieło pana Penga. Z plastikowej torby z wesołą buźką pani Chin wyciągnęła bułeczkę. Dotarł do mnie słodki drożdżowy aromat. Może mam na taką ochotę? Potrząsnęłam głową. Nie dzisiaj.

Dzwonek na drzwiach kawiarni zabrzączał cicho. Zamówiłam tę samą latte co zawsze – latte, której nie powinnam kupować, bo nie zarabiałam pieniędzy. Usiadłam, żeby ją wypić. Ciemnowłosy mężczyzna trzymał bajgiel przy buzi dziecka, czekając, aż maluch ugryzie kęs. Podążyłam za jego spojrzeniem na nowojorską ulicę, gdzie nic nie wydawało się niezwykle: ludzie, gołębie, worki ze śmieciami. Trzymając spokojnie bajgiel, ojciec błędził myślami. Pamiętałam takie spojrzenie mojej matki, gdy byłam mała – nie znosiłam go. Jak śmiała myśleć o czymkolwiek innym niż o mnie?

Ojciec i dziecko zaczęli rozmawiać w jakimś obcym języku, którego nie umiałam rozpoznać. Mężczyzna nagle się odwrócił i przyłapał mnie na gapieniu się na nich. Spuściłam wzrok, czując, jak czerwienię ją mi uszy.

Kawiarnia rozbrzmiewała zwyczajnymi dźwiękami: niskim szumem spienianego mleka, szelestem papierowych torebek, do których wsuwano wypieki. Mężczyzna po pięćdziesiątce, typ biznesmena z Wall Street, głośno jadł ciastko i zerkał na pager. Wróciłam do kasy, by zamówić kawę, którą codziennie przynosiłam

szefowi. Ciemno palona, z dodatkiem dwóch różowych saszetek słodzika Sweet'N Low, rozjaśniona półtłustym mlekiem aż do uzyskania „koloru Halle Berry” – poinstruował mnie z dumą pierwszego dnia, jakby wcale nie powiedział niczego zdrożnego.

Pokonując cztery przecznice dzielące mnie od biura, wymijałam odzianych w wędkarskie kapelusze turystów z plecakami i czerwonymi torbami z outletu. Poruszali się powoli, twarze mieli ogłupiałe z podziwu. Ja szłam szybko, pewnym krokiem, ściskając kubek z kawą, która parzyła mnie przez tekturową opaskę, dumna, że jestem uodporniona na krajobraz miasta, który wzbudzał zachwyt w pozostałych. Do olbrzymiego przeszklonego budynku wkroczyłam z przekonaniem o swoim znaczeniu i autorytecie: ja tu p r a c u j ę. Co prawda to bezpłatny staż, ale jednak.

Nasza siedziba mieściła się w nowym, futurystycznym gmachu ze szkła i stali, lekko zakrzywionym ku górze. Największy atut stanowiła winda. W kilka minut zawiozła mnie na dwudzieste piętro, gdzie podałam Jerry'emu kawę, a on bez słowa chwycił kubek w pulchne różowe dłonie. Wokół obrączki na palcu serdecznym utworzyło się wyrzuszenie, jak na pniu drzewa wokół starych tabliczek czy różnych przedmiotów. Przypomniało mi się zdjęcie z magazynu, gdzieś z Wybrzeża Północno-Zachodniego – drzewo obrastające korą rower, jakby go połykało. Chłopiec, do którego ten rower należał, był już starszym mężczyzną. Jerry skinął głową na znak, że kawa mu smakuje.

Następne cztery godziny spędziłam na rozjaśnianiu zdjęć. Kiedy Jerry wyszedł przed czasem, jak co wieczór, uruchomiłam Usenet. Nigdy jeszcze tam nie pisałam, więc wpierw utworzyłam nazwę konta: TimelessinNY. Wpisałam pytanie: „Czy ktoś czasami ma wrażenie, że czas się zaciął? Zdarzają mi się chwile, kiedy czas nie płynie. Minuta trwa wiecznie”. Czekać na odpowiedzi, wyszukałam oferty pracy dla absolwentów historii sztuki. Kurator, docent, nauczyciel. Nie potrafiłam wyobrazić sobie siebie w żadnej z tych ról. Wiosną miałam skończyć studia i chciałam mieć jasny kierunek – jakąś pasję, która nadałaby mojemu życiu sens, tak jak to było w przypadku moich rodziców.

Nie odziedziczyłam po nich talentu do nauk ścisłych ani w ogóle do niczego, jak mi się czasem wydawało.

Przed wyjściem zajrzałam jeszcze na forum. Nie było żadnej odpowiedzi.



Na firmowej imprezie gwiazdkowej stała sztuczna, strzelista choinka. Święty Mikołaj był Latynosem, a jego czerwony aksamitny strój zdobiło logo firmy. Muzyka ze świątecznego albumu jakiegoś boysbandu grała zdecydowanie za głośno. Nasza macierzysta firma wynajęła piętro hotelu w Chelsea, całe przeszklone, z panoramicznym widokiem na Manhattan. Pomyślałam, że na to poszły pieniądze, których mi nie płacili. Przed wyjściem na imprezę zauważyłam, że w mojej jedynej parze czarnych pończoch poleciało oczko. Narysowałam więc w tym miejscu na łydce kreskę markerem Sharpie. Sztuczki tej nauczyła mnie na pierwszym roku koleżanka z akademika.

Wzięłam do ręki trójkątny tost upstrzony czarnymi koralikami kawioru. Miasto oferowało nam przebłyśki luksusu – nawet studentka mogła zjeść kawior albo napić się wina z kryształowego kieliszka. O tym, że nie należymy do grona bogaczy, przypominano nam w chwili, gdy wracaliśmy do swoich ciasnych klitek, łóżek na antresoli i wspólnych łazienek wielkości szafy. Z czasem do mnie dotarło, że nawet poukładani ludzie – ci, którzy ubierali się wykwintnie i drogo – niekoniecznie zamieszkiwali miejsca nadające się do życia. Często wygrzebywali swoje eleganckie ciuchy ze stosów na fotelach, które stanowiły ich jedyne meble.

Gdybym miała ochotę na więcej kawioru, to musiałabym zachować czujność. Ludzie z sektora medialnego oblegali zestresowanego młodego kelnera trzymającego srebrną tacę. Zastanawiałam się, jak ta impreza wpływa na ich morale. Widać było, kto zajmuje się modą, jedzeniem, a kto plotkami o celebrytach. Moje współpracowniczki przywdziały skąpe sukienki – przez całą zimę rzadko widywaliśmy odsłonięte ciała – i nalewały sobie ponczu z kipiącej bez umiaru fontanny.

Pozostałe stażystki tłoczyły się stadnie wokół przystawek, czerpiąc siłę z przewagi liczebnej. Na mój widok pomachały, zapraszając mnie do swojego grona. Większość z nich, podobnie jak ja, studiowała na NYU, kilka na Columbii czy SUNY. Wszystkie piły alkoholowy poncz, choć spora ich część nie była pełnoletnia. Nikt tego nie komentował, bo to rozumiało się samo przez się: oto nasza pensja. Cała grupa składała się wyłącznie z blondynek o krągłych piersiach i miłym usposobieniu. Widać było, że Jerry, który je wybierał, miał określony typ. Ja stanowiłam anomalie.

Wzięłam krewetkę i przeciągnęłam ją przez sos koktajlowy. Była zimna i tylko delikatnie smakowała morzem. Koktajl z krewetek wiązał się z koniecznością intensywnego przeżuwania i zawsze przy jedzeniu towarzyszyła mi myśl: „Za dużo tego mięcha”. Miałam jednak amnezję dotyczącą koktajlu z krewetek – zapominałam, jakie to uczucie, dopóki nie sięgnęłam po kolejną porcję.

Rozejrzałam się po sali w poszukiwaniu kosza na śmieci i nie zauważyłam, że w moją stronę zbliża się Jerry. Najchętniej bym go tego wieczoru unikała, ale teraz było już za późno. Obok niego stał wysoki, złotowłosy mężczyzna, na oko dwudziestokilkuletni.

– Lily, to mój siostrzeniec – oznajmił Jerry z nieskrywaną dumą.

W kącikach ust miał skorupkę z sosu koktajlowego, zaschniętą niczym krew.

– A to jest Lily – przedstawił mnie siostrzeńcowi.

Poklepał chłopaka po plecach. Uniosłam krewetkowy ogonek i wzruszyłam ramionami na znak, że chciałabym mu podać rękę, ale w tej chwili nie mogę.

– To Koreanka – dodał mój szef.

Zastanawiało mnie, dlaczego to powiedział – z wielką pewnością siebie i tak, jakby mogło to wzbudzić zainteresowanie. Od razu ogarnęło mnie znużenie.

– Chinka – uściśliłam siostrzeńcowi, gdy szef już sobie poszedł.

Jerry przeniósł się do stada blond stażystek, które po kolei promieniały na jego widok, jakby był jakimś bożkiem. Mógł przemienić każdą z nas ze stażystki bezpłatnej w opłacaną, więc w pewnym sensie

faktycznie miał boskie moce. W przeszłości przedstawiał mnie również jako Tajkę. Pracowaliśmy w branży turystycznej, ale nie potrafił tego zapamiętać.

– Przepraszam – powiedział siostrzeniec. – To było dziwne.

Był niesamowicie atrakcyjny – wysportowany, ale nie próżny, typ umięśnionego kujona. W przeciwieństwie do pozostałych mężczyzn na imprezie, gości z branży medialnej ubranych w wycięte pod szyję T-shirty, wyraźnie czuł się swobodnie w dopasowanym garniturze. Nie wyglądał, jakby wypożyczył go na tę okazję. Zdecydowanie nie w moim typie. Muskulatura mnie onieśmielała. Zastanawiałam się, ile jeszcze powinnam wypić. Ruszyłam w stronę fontanny z ponczem, a on podążył za mną.

– Jestem Matthew – przedstawił się, drapiąc się po karku, którym to gestem wprawił mnie w zachwyt. – Czym się tutaj zajmujesz?

– Jestem stażystką – odparłam, napełniając szklankę ponczem. – W dziale graficznym. Głównie wyszukuję stockowe zdjęcia. Albo odbieram faktury od fotografów.

Zacisnęłam dłoń na szklance. Zimno. Przeniosłam ją na szyję. Gorąco. Istniało prawdopodobieństwo, że nie śnię; istniało prawdopodobieństwo, że to rzeczywistość. Po dzisiejszym poranku miałam się na baczności.

Zbite w gromadkę redaktorki plotkarskiego magazynu zerkwały na nas, zainteresowane poczynaniami przystojnego siostrzeńca.

– Nad czym dzisiaj pracowałaś?

Matthew wyglądał na szczerze zaciekawionego, zupełnie jakby chciał kontynuować rozmowę, co mnie zaskoczyło. Zazwyczaj ludzie rozglądali się za kimś ciekawszym, gdy tylko wyjawiałam im, czym się zajmuję.

Rozliczałam faktury. Sprawdziałam hotele – porównywałam zdjęcia z podanym w ofercie wyposażeniem. Szukałam też potencjalnych fotografów do artykułu o projektach milenijnych – architekturze i obchodach upamiętniających rok 2000. Na przykład Millennium Wheel, diabelski młyn, który powstawał właśnie w Londynie na podstawie koncepcji małżeństwa projektantów.

– Duży, prawda? – zapytał Matthew.

– Najwyższy na świecie – potwierdziłam.

Muzyka nagle ucichła. Zamilkliśmy wraz z resztą zgromadzonych.

– Dobry wieczór wszystkim – popłynęło z głośników.

Obróciliśmy się w stronę sceny. Rozpoczynała się loteria, którą ogłosił zatrudniony na tę okazję energiczny konferansjer. Na początku imprezy każde z nas otrzymało losy, a ja wygrzebałam teraz swój z torebki.

– Trzy, osiem, pięć, sześć... – czytał konferansjer. Usłyszałam westchnienia rozczarowania.

Rzecz jasna niczego nie wygrałam. Szczęście nigdy mi nie sprzyjało. Nie przełamywałam żadnych schematów. Nawet to, że urodziłam się Chinką, było najbardziej prawdopodobną opcją ze wszystkich możliwych. Moja koleżanka z biura, Amy, krzyknęła z radości. Pobiegła na scenę po nagrodę – zapakowanego w folię termokurczliwą discmana w pudełku. Znowu pomyślałam o kosztach tego urządzenia, o pensji, której nie otrzymałam.

Prowadzący podał kolejny numer:

– Trzy, osiem, siedem, siedem. – Kolejne jęki rozczarowania. Znowu nie ja. Matthew wpatrywał się w swój los.

– To chyba mój – stwierdził.

Wszedł na scenę i odebrał czterdziestocalowy telewizor plazmowy. Wrócił do mnie, postawił odbiornik obok i wzruszył ramionami, jakby takie rzeczy przytrafiały mu się nagminnie. Konferansjer dalej odczytywał zwycięskie numery, a Matthew pochylił się w moją stronę.

– Chcesz go?

– Żartujesz sobie?

– Mam już telewizor. Właściwie nie wiem, co miałbym z nim zrobić.

– Ojej – westchnęłam z niedowierzaniem. – To znaczy...

– Może go weźmiesz i ocenisz? A jeśli ci się nie spodoba, możesz go sprzedać. To niezły sprzęt. Można za niego dostać co najmniej kilka tysięcy.

– To wariactwo – odparłam – ale dobra.

Prawdziwi Amerykanie to hipnotyzująca, wielopokoleniowa powieść o przywilejach, tożsamości i iluzjach amerykańskiego snu. Khong udaje się nadać pozornie przyjemnym tematom urok i patos poprzez swoje uważne, zabawne i osobiste pisanie. Autorka mistrzowsko bada rodzinę, która zmaga się z redefinicją własnego życia po odkryciu wstrząsających sekretów.

GUARDIA BRIT BENNETT, AUTORKA *MOJEJ ZNIKAJĄCEJ POŁOWY*

U podstaw *Prawdziwych Amerykanów* leży krytyka amerykańskiej obsesji na punkcie pieniędzy i wyboru.

GUARDIAN

FILIA

Literacka

cena 79,90 zł

ISBN 978-83-8402-156-9



wydawnictwofilija.pl

